

Cassandra Wilson Silver Pony

Blue Note 2010

Dystrybucja: EMI Music Polska

Muzyka: ●●●●○
Realizacja: ●●●●○

Najnowsza płyta Cassandry Wilson jest kompilacją nagrań studyjnych (dokonanych w nowoorleańskim Piety Street Recording) i koncertowych (trasa po Europie w 2009). Połączenie wypadło naturalnie. Kolejność utworów jest przemyślana, a muzyka odznacza się pulsującym rytmem i bogatą kolorystyką, co jest efektem zmieniających się składów. Wśród gości słyszymy m.in. Ravięgo Coltrane'a oraz Johna Legenda.

W repertuarze znalazły się standardy („Lover Come Back To Me”), kompozycje Cassandry oraz tematy Wondera, Lenno i Bonfy (z filmu „Czarny Orfeusz”).

Głównym bohaterem płyty jest głos Cassandry – charakterystyczny, głęboki kontralt o barwie matowego hebanu. Wilson ma bogatą przeszłość wokalną. Śpiewała folk, jazz i pop. Współpracowała ze sceną M-Base. Na płycie łączy te doświadczenia, tworząc syntezę bluesa, jazzu i soulu. To, co puryści mogliby uznać za wahnięcia intonacyjne, stanowi jeden ze środków ekspresji, dodaje jej głosowi autentyczności.

Słowa uznania należą się zespołowi Cassandry (określenie „sekcja rytmiczna” jest tu zupełnie nie na miejscu), z genialnym gitarzystą Marvinem Sewellem, specjalizującym się w różnych odmianach bluesa (z archaicznym włącznie), na czele. Chyba najlepszym kawałkiem albumu jest „Saddle Up My Pony” (ze wspomniałym intro Sewella), zarejestrowany na koncercie w Warszawie. ■

Bogdan Chmura



Pink Freud Monster of Jazz

Universal Music Polska 2010

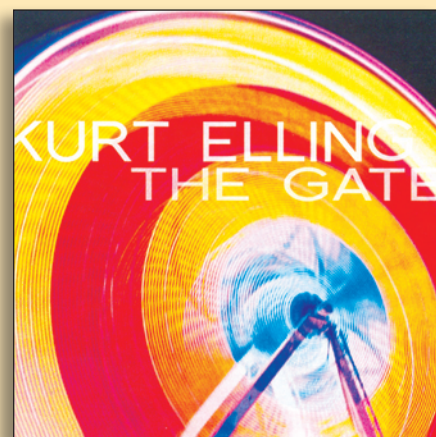
Muzyka: ●●●●○
Realizacja: ●●●●○

Działający od dekady Pink Freud osiąga obecnie apogeum powodzenia, ciesząc się uznaniem zarówno wśród miłośników sztuki niszowej, jak i fanów o bardziej tradycyjnych upodobaniach (pierwsze miejsce na liście Jazz Top pisma „Jazz Forum” w kategorii „zespół elektryczny”).

„Monster of Jazz” to piąty album zespołu. Podobnie jak na poprzednich mamy tu śmiałe mieszanie konwencji, łączenie muzyki akustycznej z elektroniką, szkicową bądź „modułową” formę oraz improwizacje (niekoniecznie jazzowe). Pewnym novum jest natomiast bogate i zróżnicowane brzmienie – typowy dla Freudów skład (bas, bębny, trąbka) został poszerzony o flugelhorn, puzon, saksofon barytonowy, klarnet, klarnet basowy, flet i wibrafon. Potencjał kolorystyczny przekłada się – choć nie zawsze – na charakter utworów. Stymuluje grupę do niekonwencjonalnych rozwiązań; poszerza repertuar. Mam tu na myśli głównie utwór Anthony Braxtona. Grając muzykę wiecznego awangardzisty, zespół wysyła nam komunikat, że nowe idee są mu wciąż bliskie. Śmiało można też polecić „Pierun” (temat przypomina nieco klimaty Ronalda Shannona Jacksona z lat 80.), „Goz Quarter” oraz nostalgiczny „Diamond Way”.

Na tym tle dość blado wypada np. „Warsaw”. Trochę nuży też powielany wielokrotnie pomysł przepuszczania trąbki/flugelhornu przez urządzenia pogłosowe. Album niezły, choć nierówny. ■

Bogdan Chmura



Kurt Elling The Gate

2011 Concord

Dystrybucja: Universal

Muzyka: ●●●●●
Realizacja: ●●●●○

Kurt Elling, wiadomo, najlepszy wokalista jazzowy na świecie. No, może poza Markiem Murphym, ale obu dzentelmików łączy więź uczeń-mistrz.

Kiedy więc najlepszy śpiewak jazzowy nagrywa płytę, to musi być dobra albo bardzo dobra. Z Ellingiem jest najczęściej bardzo dobra i „The Gate” zostanie pewnie uznana za jedną z najlepszych wokalnych płyt tego roku. Przyniesie też wokaliście kolejne tytuły, od zwycięstw w ankietach „Down Beatu” po Grammy. Dysponujący czterooktawowym głosem amerykański baryton jest skazany na sukces.

Album tworzy dziewięć utworów. Dobór standardów, jak zwykle, zaskakuje, bo oprócz Davisowskiego „Blue in Green” z „Kind Of Blue” mamy utwór „Hee Haw Samurai” pióra Marka Johnsona oraz cover Kinga Crimsón z płyty „Discipline” – „Matte Kudasai”.

O technice, artykulacji, frazowaniu, timingu i rozumieniu niuansów jazzowej estetyki pisać nie ma po co, bo przecież z tych atutów Elling słynie. Właściwie to w ogóle nie ma po co o tej płycie pisać, ponieważ, podobnie jak poprzedniczki, jest najzwyczajniej bardzo dobra, jeśli nie wybitna. Dobór przymiotników zależy wyłącznie od tego, kto jak bardzo jest zafascynowany talentem Amerykanina i jak wielką przejawia skłonność do gloryfikowania jego dokonań.

Biegnijmy więc pędem do sklepu i słuchajmy, ile się da! ■

Maciej Karłowski